

# Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

Przerobił J. R.

Ciąg dalszy.

20

Jakżeż szczęśliwą była ta wieśniaczka, biednie wprawdzie ubrana, ale zdrowa i hoża, z uśmiechem na czerstwej twarzy, w porównaniu z nią, bogatą hrabiną, mającą do rozporządzenia wszystko, co tylko można było kupić za pieniądze, a teraz tak nieszczęśliwą i biedną. Erna zazdrościła prawie tej kobiecie z ludu, nie mającej nawet pojęcia i nie marzącej o tem, co dla niej stanowiło już powszedniość.

— Tak — mówiła sama do siebie — gdyby zazdrość nie była wstrętą, to prawdopodobnie musiałabym zazdrościć tej biednej kobiecie, która pewnie żyje szczęśliwie z mężem, ciesząc się dziećmi, które ją wieńcem otaczają. Jeszcze nie skończyłam dwudziestu lat, a czego już nie musiałam doświadczyć od czasu, jak mi matka i siostra pomariły! Ja, której zawsze strzeżono jak oka w głowie! Czyż jeszcze kiedy los się do mnie uśmiechnie? Czy rany, jakie mi zadano, zabliźnią się kiedy?

Potrząsała główką, jakby sama w to nie wierzyła, ale naraz ciałem jej wstrząsnął dreszcz. Odrzuciła dumnie główkę w tył i prawie głośno zawołała:

— A niechby mi los nie sprzyjał i dalej, to sama wezmę się do niego, sama sobie pomogę! Młoda jeszcze jestem, życie stoi przedemną otworem! Przy boku mego męża musiałabym umrzeć, uwiednąć, jak roślina, której słońca brak!

Ale ja chcę żyć, chcę być szczęśliwą! Serce moje tego żąda, wargi moje spragnione miłości.

Myślała teraz o doktorze Stürmerze i na samą myśl o nim krew jej nabiegła na twarz. Ba, gdyby mogła należeć do niego! Ale nawet nie odważyła się myśleć o tem dłużej, boć to przecież nigdy, nigdy nie nastąpi. Nawet ona by takiego szczęścia nie zniosła; zdawało się jej, iż taka rozkosz musiałaby ją zabić.

Ale, ileż to godzin już? Wyjęła z kieszeni mały, brylantami sadzony zegarek i spostrzegła, że już była trzecia po południu. A jego jakoś nie było widać nigdzie.

Kiedy drugi raz zaczęła obchodzić ruiny puśtelni, wpadła jej naraz myśl, że on, przyszedłszy z drugiej strony i nie widząc jej nigdzie, mógł wejść przecież do ruin. Tam więc skierowała swoje kroki.

Ale i w wielkim refektarzu, do którego weszła, nie zobaczyła nikogo. Już miała zamiar wyjść na pole, kiedy naraz wzrok jej padł na małe drzwiczki, znajdujące się po prawej stronie w ścianie. Równocześnie zdawało jej się, że uszu jej dobiegł stamtąd jakiś cichy szmer.

A może on tam wszedł? — pomyślała.

I podeszła ku drzwiczkom, położyła rękę na pleśnią pokrytej kłamce. Znalazła się zaraz w małym, wązkim pokoiku, deszcz ciemnym, bo skąpe światło przedzierało się jedynie przez małe, zakratowane okienko. Zdziwiona zaczęła się oglądać, bo nigdy w życiu jeszcze tu nie była, a nawet zupełnie nie wiedziała, że tu taka kryjówka istnieje.

W jednym kącie było trochę słomy, a obok resztki jedzenia, co ją niemało zdziwiło. Tu musiał ktoś mieszkać, przynajmniej na to wskazywały te ślady.

Ogarnęła ją trwoga, kiedy tak wzrokiem wodziła po tych ścianach. Naraz zdało jej się, że słyszy w refektarzu jakieś kroki. Ale zanim zdecydowała się zobaczyć, kto to być może, jakaś niewidzialna ręka zatrzasnęła drzwi z tamtej strony.

— Panie Stürmer — zawołała przerażona — czy to pan?

Nie było odpowiedzi.

Pobiegła więc, aby drzwi otworzyć, bo myślała, że może wiatr je zamknął. Pocisnęła kłamkę, ale drzwi się nie otworzyły, a i druga próba wyjścia nie udała się. Zdało jej się nawet, że słyszy jakiś przytłumiony śmiech i nagle krew jej się ścięła w żyłach.

— Kto tam jest? — zawołała jak mogła najgłośniejsze, ale w odpowiedzi usłyszała jeno śmiech, szatański iście śmiech. Z początku myślała, że to może jaki służący z zamku, nie wiedząc o tem, kto się znajdował wewnątrz, a przekonany może, że tam jest jaka pokojówka, chciał sobie zażartować. Zaczęła więc szarpać kłamkę, ale nadaremnie. Drzwi się nie otworzyły.

Biła piąstkami w drzwi, wołając:

— No, otwórzcież tam! — ale dreszcz zimny

przebiegł jej ciało, kiedy uszu jej dobiegł znowu ów szatański śmiech. Poznała go; był to śmiech Ilony, kochanki jej męża.

I niespodziewanie przyszła jej myśl, że to Ilona również sprowadziła starego profesora, poleciwszy mu, aby ją za pomocą jadownej żmii uśmiercił. Bez wątpienia wpadła znowu w pułapkę i to w pułapkę bez wyjścia.

Świadomość, że zwyciężyła ją podstępem rywalka, doprowadzała ją do szaleństwa. Chciała wołać o pomoc, ale jakby jej nagle gardło zatkało, nie mogła z siebie głosu wydobyć. Nareszcie jednak odzyskała znowu energię i wyteżywszy wszystkie siły, zawołała zrozpaczoną głosem:

— Na miłość Boską, otwórzcież! Przecie chyba nie macie zamiaru zamknąć mnie tutaj!

— Jesteś pani w więzieniu! — dał się słyszeć niemiły jakiś głos z zewnątrz. — W więzieniu i już nigdy nie będziesz i nie możesz być wolną! Wiesz pani przecie, że to niebezpieczna historia mieszać się w cudze tajemnice.

W pierwszej chwili sądziła Erna, że przesładuje ją jakiś zły sen, ale kiedy teraz dobiegł znowu jej uszu głos jej nieprzyjaciółki, ten twardy, niemiły, surowy głos, zrozumiała, że od tej kobiety niczego spodziewać się nie może.

Mimo to jednak zdecydowała się spróbować, czyby się jej nie dało poruszyć. Prosiła więc błagalnie:

— Zlituj się pani i otwórz pani drzwi! Ja, pani nawet przyrzeknę, że pani zostawię człowieka, którego pani kocha, bo ja mam stanowczy zamiar rozwieść się z nim.

Przerwał jej znowu szyderczy śmiech.

— Na co mi się to przyda? — odparła Ilona szyderczo — ja chcę nie tylko twego męża ale i twoich pieniędzy. Wobec tego, że uczyniłam cię już na zawsze nieszkodliwą, mogę mówić otwarcie.

— Pomyśl pani, że Bóg, który wszystko widzi, strasznie pania za to ukarze, gdy nadejdzie dzień sądu. A dzień ten przyjdzie prędzej, aniżeli pani się spodziewa — wołała nieszczęśliwa Erna na pół z płaczem, a potem ciągnęła dalej:

— Przecież w zamku spostrzegą moją nieobecność, każą mnie szukać; pokojówka moja wie, że poszłam do ruin, więc mnie znaleźć muszą!

Znowu jej odpowiedział szyderczy śmiech Ilony.

— Że pani tutaj nie znajdują, o to już ja się postaram, możesz pani być pewną, pani hrabino Pardua. Ja teraz będę nosić to dumne nazwisko, ja będę panią zamku Schleinitz, podczas, gdy pani musisz tutaj umrzeć z głodu i z bólu. Tak, wiedz o tem, że cię nienawidzę, turkaweczko głupia. Wyglądałaś zawsze tak, jakbyś nie była zdolna wyrwać włosa z głowy i dlatego właśnie, dla tej twojej łagodności nienawidzę cię. Chcę cię zgubić, bo mogłby przyjąć kiedy dzień, w którym Robert znowu by ciebie pokochał, a tego ja nie chcę i tego muszę uniknąć!

— Powiedziałam pani przecie — brzmiała odpowiedź Erny — że zostawiam ci hrabiego Pardua na wyłączną twoją własność. Po tem, co zaszło, ja z nim żyć ani mu przebaczyć nie mogę. Tak, ja pani przysięgam, że o tem, co mi pani teraz zrobić chciała, milczeć będę zawsze, przysięgam, ale uwolnij mnie pani stąd, na miłość Boską!

— A choćbyś mi i sto razy nawet przysięgała na wszystko, co dla ciebie najświętsze, to jednak stąd cię już nie puszcze. Mogłabyś się kiedy wygadać na śnie lub w gorączce, albo, ja nie wiem zresztą kiedy. Nie trudź się i nie mów więcej, bo to wszystko na nic się nie przyda, nadarmo!

Erna upadła na kolana i głowę przycisnęła do drzwi. Słyszała, jak kroki coraz bardziej się oddalały, jak coraz słabszym brzmiały echem. Potem owionęła ją cisza, cisza śmiertelna. Serce jej tłukło się, jak ptak w klatce, a zimny dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

— Wielki Boże, cóż się ze mną stanie?! — mówiła, łkając.

Opanowała ją taka strasna trwoga, taki beznamiętny lęk, że bała się poruszyć nawet i klęczała tak przy drzwiach, załamawszy ręce, z rozpuszczonymi włosami, blisko pół godziny.

Zrozumiała. Jeżeli z tego strasznego pokoju rzeczywiście nigdzie drugiego wyjścia nie było, to była zgubiona. Czekala ją śmierć i to śmierć okropna, najokropniejsza ze wszystkich, bo śmierć głodowa.

Czemże ona sobie na taki los zasłużyła? Cóż popełniła tak strasznego, że ją Bóg tak ciężko ukarał?

Po chwili wstała.

Może jednak będzie jeszcze można wydobyć się

stąd. Postanowiła zbadać dokładnie wszystkie ściany. Jedyne małe okienko zakratowane było silnie tak, że o ucieczce tą drogą nawet mowy być nie mogło. Zamknięte drzwi dębowe, przekute żelaznymi sztabami, już zardzewiałymi, były dla niej, jak mur, który ją dzielił od świata. O wywaleniu ich nie było co myśleć. A więc wyjścia nie było!

Łkając, upadła na słomę i załamała ręce.

— Boże mój! — modliła się. — Ty widzisz moją nędzę, Tyś przecie miłosierny, ześlij mi radę, ześlij mi pomoc! Wszchemocny Panie, dopomóż mi, wołam do ciebie złamana bólem. Ty jeden możesz to zrobić, bo Ty jesteś mocar! Ty jeden możesz mnie uwolnić. Otwórz drzwi mojego więzienia, o Panie!

Klęczała tak długo w głębokiej, serdecznej, przerażonej modlitwie. Musiało już być bardzo późno, bo w celi mrok już panował zupełny.

Modlitwa dodała jej siły, bo modliła się z taką dziecięcą ufnością, na jaką tylko jej dobre, czyste serce zdobyć się mogło.

Otaczała ją noc. Nie była zabobonna, jednak kiedy przypomniła sobie te wieści, jakie o starej ruinie krążyły wśród ludu i służby zamkowej, serce jej ścisnęło się obawą i niepokojem. Pocieszała ją tylko jedna myśl, że Bóg jest przy niej.

Położyła się na słomie i z zapartym oddechem zaczęła nasłuchiwać. Była przekonana, że już najbliższa minuta przyniesie jej coś strasznego.

Ale nie zaszło nic, chociaż uchem śledziła najmniejszy szmer. Tylko myszy, które w takich miejscach chętnie sobie obierają siedlisko, skakały naokoło niej.

Jakżeż długo, jak nieskończenie długo trwała ta noc! Zdawało jej się, że lata całe mijają, tak powoli upływały godziny. Odetchnęła, kiedy przez zakratowane okienko przedarł się nareszcie pierwszy promień światła.

Zaczynał się nowy dzień. Czy on jej przyniesie ratunek?

Słońce podniosło się coraz wyżej.

Erna przysunęła znaleziony w celi kamień pod okno i stanawszy na nim, próbowała wyjrzeć na pole.

Na dole, we wsi, zaczynało się życie. Na podwórzu chałup wychodziły dziewczuchy, ocierając rękoma sen z oczu, szły do stajni, aby wydoić krowy, bo wozy, mające mleko odwieść do miasta, już stały w pogotowiu.

Zapowiadał się dzień piękny, pogodny. Na niebie, niesplamionem ani jedną chmurką, płynęło w trumfie słońce, rzucając na ziemię potok przeźzystych, jasnych promieni, jakby z głowy Cheruba niebieskiego porwanych.

Z jednej z chałup wyjechał wieśniak, znany jej dobrze z tego powodu, że doswć często bywał w zamku, jako opiekun jej pokojówki. Poznała go, a widząc, że przejeżdża tuż obok ruin, zawołała ku niemu:

— Michale!

Zeskoczył z kozła i wpatrzył się zdziwiony w ruinę. Ogarnęło go przerażenie. Więc rzeczywistość w pustelni błdził potępiony duch!? Włosy mu stanęły na głowie.

— Michale! — usłyszał raz jeszcze.

Przerażony zasłonił oczy przed słońcem i wpatrzył się w stronę, z której głos dochodził. Zdawało mu się, że go wzrok łudzi, bo w zakratowanym okienku zobaczył wydłużoną, zbladłą, bladą twarz kobiecą. Krzyknął, wpadł na kozioł i jak szalony zaczął okładać konia, nigdy zresztą nie katowanego. Biedne stworzenie stanęło dęba, a potem, również widocznie przerażone, zaczęło pędzić, jakby gnane jakąś niewidzialną siłą.

Michał odetchnął dopiero, kiedy zapadające się ruiny znikły mu z oczu tak, że ich już nie mógł zobaczyć.

A tam, w celi, za zakratowanym okienkiem, biedna, znużona kobieta, runęła z przeraźliwym krzykiem, nieprzytomna na ziemię.

— — — — —

W krytej szklanym dachem aranżeryi, z widokiem na wspaniały park, w którym szumiały stuletnie dęby i buki, leżała na dywanie w szatańsko iście kuszącej pozycji Ilona.

Wiosenne powietrze płynęło przez otwarte okna. Lekki, orzeźwiający wiatr muskał swem techniem śliczną główkę szatańskiej tej kobiety.

Leżała wygodnie, popijając szampana i paląc cygaro. Od czasu do czasu wybuchała sama pustym śmiechem i rozmawiała ze sobą półgłosem.

— Tego łotra Marcelego nareszcie się pozbyłam. Gdzieby on przypuszczał, że liścik Erny do Stürmera dojdzie w moje ręce? Jemu się zdawało,